

* * *

Moje życie już zebrane w akta,
spisane w punktach, zinventaryzowane
jak tropary twoje i kondakia.
I tylko duch mój nieopanowany
wybucha jak piorun nad ponurym murem
i nad dzwonnicy Zofii ulatuje niczym
ptak wyżej i wyżej. A niechaj i umrę –
on za mnie wtedy cichutko wykrzyczy
trzy tysiące wieczorów straconych na zawsze
oraz trzy tysiące poranków niedoszłych,
które jako jelenie, w krzakach mnie znalazłszy
martwego, nie próbując budzić – poszły.

* * *

Jak to dobrze, że śmierci się nie boję
i nie pytam o ciężar swego krzyża.
Że się nie kłaniam wam, sędziowie moi,
nisko, w przeczuciu niezbadanych wyżyn.
Żem żył i kochał, alem się nie zbrukał
gniewem, potwarzą, pokajaniem się.
Narodzie mój, ja jeszcze cię odszukam
i śmierć ku życiu znów obróci mnie
twarzą zbolatą, lecz wolną od złości,
jak syn pokłonię ci się aż do ziemi
i spojrzeć w twoje oczy będzie dość mi,
żeby się zalać łzami najszczerzszymi.
A chciałoby się pożyć choć godzinę,
gdy już odejdzie w przeszłość ma zgryzota.
Niech przyjdą w gości Łesia Ukrainka,

Franko, Szewczenko oraz Skoworoda.
Ale dość! Milcz już! Zbłądziwszy w gęstwinie,
zamiast narzekać, głębiej się zanurzaj
i patrz na to, co w przyszłość się rozwinie,
by zakwitnąć pod oknem jako róża.

* * *

Zdaje się, listy idą do mnie cały czas –
od krewnych, od kochanych, od znajomych.
Tylko w nocnym śnieniu jest widomy
znak, że gdzieś tam jest syn i ty trwasz,
mój wysmutniały, najmilszy gołębiu
za granicą, za miedzą, za rolą śródpolną,
dokąd, gdybym puścił swe uczucia wolno,
doczołgałbym się na łokciach. Do dębu
złamanego, do sosny, co się wkrada
igłą w koszmary senne, bezbłędnie,
bez trudu, niczym śmierć-zagłada.
Tam dom drzemie jak kura na parkanie,
słysząc skrzypienie ciemnej skrzyni.
A też i po nocach tęsknie rzy mi
wrony koń w słonecznym arkanie.

Po czytaniu Yasunari Kawabaty

Rozciągnij się, duszo moja,
na poczwórnym tatami
lub zegnij się pod nahajem,
zastanij się rękami.
Miej swoje dwa obrzeża
i ten prawdziwy środek –
marnie wróżący niewierze –
wiekowy czy też młody.
Pośrodku – pion, pień lat,
po bokach – kształt korony.
Pośrodku – wieczny ślad
(senny cień poruszony).
Jak niebo, tak i ziemia –
poza zasięgiem naszym.
Precz od mojego sumienia,
wiarołomni judasze!
Czym nie śnił przez ten czas,
nie pragnął, jak pokuty,
żeby zakwitnąć wśród was
jak barwinek wśród ruty?
Jakże śni mi się ziemia,
na której nocuję tylko,
jakże mnie boli nieme
niebo, które zamilkło.
Jak stanął mi w oczach mój kraj
jak gdyby słup świetlany.
Mówi – synu, do śmierci stań –
ty jesteś mój kochany.
Więc rozłóż się, duszo moja,
na poczwórnym tatami,
nie zginaj się pod nahajem,
nie zastanij rękami.

* * *

Co za błogość – oderwać się radośnie
od siebie niczym łódź od brzegu.
Nie narzekaj i nie żałuj, kolego:
niebo się zbliża do ciebie i rośnie.
Jak dobrze, pozbywszy się starych okowów,
poczuć się wolnym, dojść ze sobą ładu!
W nocnym oknie goreją plejady
śniegów i krzyków, uśmiechów i lodów,
które odległość, chwalić boga, gubi.
Błoga śmierci! Nie kuś. Jeszcze nie czas!
Twój wysoki upadek ciągle trwa
i duszę przeczystą hołubi.

* * *

Łyzka ciepłej zupy – jak modlitwa:
wzmocni blade ciało w okamgnieniu
i rozgrzeje ducha. Niczym brzytwa
ten ogrzany duch się we mnie mieni,
wyłapując też słoneczny, jasny pył,
srebrzy się, rozświetla, lśni nie mniej
niż zgrzyzoła. Boże, proszę z całych sił,
nie zabieraj mi ani kawałka mnie
i nie dawaj mi też, o co nie prosiłem,
co na sercu pozostawia czarne szramy.
Duch jak zacier szumi we mnie, że aż miło,
i wejść do wieczności pragnie – razem z drzwiami.